№ 40.
Rok 3.
CENA:
w Warszawie:
miesięcznie kop. 15 Złp. 1.
w Królestwie i Cesarstwie
pod opaskami
kwartalnie kop. 62. (Złp. 4 gr. 4.) półrocznie rs. 1 kop. 24. (Złp. 8 gr. 8.) rocznie rs. 2 kop. 48. (Złp. 16 gr. 16)
W kopertach półrocznie rs. 1 kop. 70. (Złp. 11 gr. 10) rocznie rs. 3 kop. 40. (Złp. 22 gr. 20).



WARSZAWA
21 Września (3 Październ.)
1868 r.
Prenumerować można
Zorzę:
w Warszawie w Redakcji Nr. 24 (nowy) ulica Nowy-Świat. — na prowincji w Królestwie: po Stacjach pocztowych. W Cesarstwie po Stacjach pocztowych lub za zgłoszeniem się listownem do Redakcji w Warszawie, (Nr. 24 ulica Nowy-Świat). Końcową należność można nadsyłać markami pocztowemi.

PISMO NIEDZIELNE
DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

„Czyń każdy w swojém kółku, co każe duch Boży,—A całość sama się złoży.“—*Kazimierz Brodziński.*

Opowiadanie Pana Michała

O swojém życiu i cichych przygodach

napisała Zofja Ścisłowska.

(Dokończenie.)

Państwo hrabiostwo bardzo lubili państwo Andrzejewskich; bywało w wiliję Bożego Narodzenia musieli z nimi jadać postnik, i jajkiem Wielkanocném najpierw się z nimi dzielili, a zawsze im mawiali, że sługa wierny to najpierwszy przyjaciel.

Staruszkowie oboje kochali się serdecznie, żyli już wtedy z sobą lat 46, gdym na naukę był oddany.

Mieli dwoje dzieci: syn był ekonomem, córkę także wydali za ekonoma. Gdy się znajomi pytali pana Andrzejewskiego, dla czego, mając dostatek, nie kierował syna na jakiego urzędnika, a córki nie wydał za jakiego pana, wtedy stary odpowiadał:

— Alboż to ekonom nie pan, byle uczciwie służył i miał czyste oko przed Bogiem i ludźmi?.... W mierności moi mili, szczęście, bo je praca wyradza i prawdziwém czyni, ja oto z moją Anusią żyję długie lata, pracujemy całe życie i całe życie szczęśliwi jesteśmy .... i któż mi zaprzeczy, żem nie pan?.... choć nie mam wsi dziedzicznych i mnóstwa służebników, ale mam większe nad to bogactwo, bo czyste, jak źródlana woda, sumienie, które mi daje usnąć spokojnie i spożyć chléb zapracowany swobodnie.

Słysząc tak nieraz mówiącego pana Andrzejewskiego, gorąco prosiłem Boga choć o połowę takiego szczęścia i spokoju w przyszłości.

W dniu, w którym miałem rozpocząć naukę u pana Andrzejewskiego, wstawszy rano, pomodliłem się serdecznie przed obrazem Matki Boskiéj, abym naukę przyjął na korzyść własną i pana mego, abym uczciwie służył, żadnym brudnym czynem życia mego nie splamił. Po téj modlitwie śmiało poszedłem na drugą stronę do państwa Andrzejewskich i niebawem pojechaliśmy w pole. Odwiózł mnie najpierw pan ekonom po polach folwarku Topolina, abym poznał granice; dopieroż tam były nauki, a tak jakoś je porządnie wykładał, żem od razu wiele rzeczy wiedział, a co najwięcéj to prawił o uprawie roli.

— Każdy ekonom — mówił — roli gorliwie pilnować powinien i głównie około tego chodzić, bo każdy nieurodzaj ze złéj uprawy, sprowadzając ruinę cudzego majątku, ciężko na jego sumieniu leży, z czego kiedyś Bóg słuchać będzie rachunków.

A do tego, jeżeli chcesz być dobrym gospodarzem, żeby gospodarstwo kwitło i napełniła się pańska szkatuła, nie bądź leniwym, pracuj,

gdy Państwo spoczywają, a będzie zboże w szpichlerzu, i pełne stajnie dobytku.

Porządek — mawiał pan Andrzejewski — to słońce, pod którego promieniami pleni się wszystko i ożywia, gdzie go niema, i szczęścia niema, i błogosławieństwa tam niema.

W parę miesięcy tak się włożyłem w gospodarkę, że pan ekonom miał ze mnie wielkie wyręczenie, bo co mi tylko zlecił, spełniłem święcie: byłem posłuszny. W żniwa tak się zwinąłem ze zwózką, że zboże kropli deszczu nie widziało, choć u sąsiadów tego roku porosło.

Przebyłem tak cztery lata, gdy ostatniego roku po mojéj uprawie,zboże jako gaj pokazało się, choć w okolicy narzekano na nieurodzaje. Jak to zobaczył p. Andrzejewski, oświadczył panu hrabiemu, że ma oczywisty dowód mojéj umiejętności w służbie i że on chciałby już pójść na odpoczynek po tyloletnich trudach; a zbliżało mu się też lat osiemdziesiąt i właśnie nadchodziła rocznica pięćdziesiątletniego pożycia małżeńskiego. Otóż przy uwolnieniu od obowiązków Andrzejewskich, państwo sprawili im na święty Jan, właśnie w rocznicę ślubu i imienin pana Andrzejewskiego, złote wesele, sprosiwszy dużo gości; i ja też na niém byłem. Na téj uczcie wszyscy pili zdrowie państwa Andrzejewskich, a muzyka grzmiała wiwaty. Przy obiedzie i wieczerzy staruszkowie na pierwszém miejscu siedzieli. Sam sprawił sobie z pięknego bardzo szaraczkowego sukna kapotę, a ona piękną suknię i czepek. O weselu tém długo w okolicy ludzie mówili.

Takie było podziękowanie państwa za wierne usługi Andrzejewskim, taką nagrodę odbiera prawdziwa zasługa, i jakież to ją skarby zastąpić mogą?..... Ubogiego ona ekonoma wynosi tak wysoko, że każdy, czy pan, czy kmiotek, uszanować go musi.

Trzeciego dnia, znów państwo Andrzejewscy do siebie prosili sąsiadów, i znajomych swoich i nie żałowali na to: wina było dostatek i dworski kucharz z rozkazu pańskiego wyśmienity sporządził obiad.

Od czasu tego już całkowicie objąłem obowiązki ekonoma w Topolinie. Pan Andrzejewski to już tylko z nałogu się wtrącał, czego mu też nie broniłem, dali im państwo ordynarję, pensję, jaką pobierali do saméj śmierci, mieszkanie i parę tysięcy gratyfikacji. czyli jednorazowego wynagrodzenia. Chcieli mi poczciwi ludziska odstąpić swoje mieszkanie, ale nie pozwoliłem na to, bo znałem ich przywiązanie do kątów, w których lat tyle przeżyli. I mnie też dano piękną pensję, ordynarję, ogród, wolność trzymania pary koni, oraz kilku sztuk bydła, i inne dogodności. Sprowadziłem sobie Nastkę, o któréj nigdy nie zapominałem i nieraz posyłałem jéj od czasu do czasu po parę rubli. Ona jeść mi gotowała i gospodarką się trudniła.

Widząc pani Andrzejewska, jak się urządziłem, poczęła mi panny raić do ożenienia; miałem już wtedy lat 23. Wpadła mi też w oko młoda dziewczyna, córka ekonoma z sąsiedztwa, którą poznałem na uczcie u państwa Andrzejewskich, i pojechałem tam. Ładną była Kasia, niema co mówić, ale trzpiot wielki; po kilku tam odwiedzinach poznałem, że nie do jednego słodkie oczki robi i przymila się. Niebezpieczna taka żona, pomyślałem sobie, i przestałem tam uczęszczać, późniéj też na złe temu wyszło, kto się z nią ożenił: wstydem go okryła.

Poczciwa pani Andrzejewska ciągnęła mnie do drugiéj, także ekonomówny. Panna Barbara niczego była, i gospodarna i pracowita, ale widziałem w niéj wielkie nieuszanowanie i lekceważenie sądziwych rodziców, i gdy raz matce przy mnie niegrzecznie odpowiedziała, tyle mnie tylko widziała, bo pomyślałem: kiedy rodziców nie szanuje, jakże męża uszanuje!.... co dla takiéj świętego?....

Gdy i tu na niczém się skończyło, pani Andrzejewska stręczyła mi trzecią, bogatą córkę cząstkowego szlachcica; lecz że była bogata, już przez to samo nie miałem do niéj wielkiéj ochoty, bo zawsze myślałem żenić się z ubogą, aby moja żona, co mieć będzie, miała tylko ode mnie: i szczęście i dostatek, bo to jakoś piękniéj i godniéj dla mężczyzny. A tém większy wstręt do niéj powziąłem, żem widział, iż była strojnisią, i jakem to tylko spostrzegł, zaraz przestałem myśléć o pannie Zuzannie, bo właśnie mieliśmy w Topolinie tego straszny przykład, co może taka żona zrobić z mężem. Oto kassjer pana hrabiego ułakomił się na nędzne kilka tysięcy i wziął taką jéjmość i cóż?....... Wszystko przestroiła, a gdy mąż ze szczupłéj pensji dawać na stroje nie mógł, — kłótnie, hałasy, że biedak zrobił szkodę w kassie i nareszcie z tego doszedł do takiego szału, że w rozpaczy odebrał sobie życie. Taki bywa koniec tych, co się łakomią na pieniądze i byle jakie kobiety

biorą za żony; a gadali mu, jak się żenił, a ostrzegali ludzie, ale słuchać nie chciał, myśląc, że za liche pieniądze panem zostanie i został, ale wiecznego potępienia, targnąwszy się na życie.

Zamiary mego żenienia przerwała śmierć dziedzica; umarł, długo chorując, jeżdżąc po za granicami do wód zimnych i gorących. Ale to pono, gdy nadchodzi godzina przeznaczona, to niema na nią doktora, niema umiejętnego zegarmistrza, coby zatrzymał osi zegara ludzkiego życia, który ma wybić ostatnią godzinę.

Śmierć ta wielkim smutkiem napełniła moje serce, i pan Andrzejewski jakoś później spaszował i zesmutniał.

Po zgonie dziedzica, Syn jego objął majątek, ten właśnie, u którego za chłopca służyłem, bo matka jego, zostawiswzy sobie maleńki fundusik do śmierci, zrzekła się dożywocia zapisanego na dobrach Topolińskich, osiadłszy w wielkim żalu po mężu, w klasztorze.

Po uspokojeniu się w żalu, począłem znowu myśleć o żonie, tak mnie do tego zachęcało szczęśliwe pożycie państwa Andrzejewskich. Przy młodéj dziedziczce była panną służącą Klementyna Dobrzycka sierota, córka oficialisty prywatnego z dobr młodéj Hrabiny. Wpadła ona jakoś pani Andrzejewskiéj w oko, lecz ja ani myślałem, ani słuchać chciałem, tak Klimcia mi się zrazu nie podobała, bo twarz miała zeszpeconą ospą; ale jak począłem ją częściéj widywać, gdym poznał w niéj rozsądek, dobroć, skromność, w ubraniu oszczędność, bo ją nigdy nad stan wystrojoną nie widziałem, tak powoli znikła mi jéj brzydkość, że ażem się zdziwił sam sobie, a nawet jéj dzioby zdały mi się potém wdziękami, i serdecznie ją pokochałem. Nie wiele myśląc, udałem się z prośbą do pani Andrzejewskiéj, aby ją wyrozumiała; naspierała się staruszka ze mną pierwéj, że mnie nie zechce panna Klementyna, ale nareszcie postarała się dowiedzieć, o co prosiłem, i choć z razu (mówił daléj pan Michał, z boku krotofilnie spoglądając na żonę) przyznać się nie chciała, ale nareszcie wyznała, że mnie także pokochała. Otóż niebawem pod niebytność państwa, poszedłszy z panią Andrzejewską do niéj, oświadczyłem się. Potém życzenia moje objawiłem państwu: byli z tego bardzo zadowoleni, bo i Klimcię i mnie lubili, i już się zanosiło na wesele, gdy oto smutny wypadek dzień naszego szczęścia odwlókł. Oj, bo też to tak na świecie bywa, że ludzie radzą o weselu, a tu często zapasem stoi smutek z czarném obliczem.

Poczciwy pan Andrzejewski zachorował nagle, i choć dobrzy państwo nasprowadzali do niego aż trzech doktorów, nic nie pomogło, trzeba się było na sąd Boski wybierać. Umierał przytomnie, pobłogosławił dzieci, żonie też dziękował za tyloletnie szczęście, i ująwszy ją za szyję, dla ostatniego pocałunku, tak skonał. Po zgonie ledwieśmy ją wydarli z tego uścisku. Myślałem, że staruszka skona zaraz z wielkiego żalu, i ja też płakałem jak po ojcu, że aż Klimcia turbowała się, aby mi to zmartwienie nie szkodziło.

Pani Andrzejewska prosiła, abym kazał grób wymurować na cmentarzu pod lipą, gdzie nieboszczyk lubił za życia siadywać, i tak obszerny, aby niebawem jéj tam trumna stanąć mogła. Do dnia pogrzebu nie odstąpiła staruszka ciała, stróżując przy niém dzień i noc, a gdy trumnę zabijać miano, użyliśmy z nią wielkiéj biedy i korowodu, nim ją od zwłok potrafiliśmy odnieść, bo nikomu do nich przystąpić nie dała — był to wyraźny sądny dzień.

Państwo sprawili suty pogrzeb staremu, bo na nim było ze dwudziestu księży, mszy bez liku i piękna muzyka. Sławny kaznodzieja miał pogrzebową mowę, i choć pan Andrzejewski całe życie nie był czém inném, jak tylko ekonomem, a ile to o nim pięknych rzeczy powiedział!. Zdumiałem się, że tyle pochwał dla ubogiego sługi znaleść można, o czém nigdy nie myślałem; ale co prawda piękném było życie pana Andrzejewskiego!....

Uklęknąwszy też przy mogile jego, pomodliłem się i przysiągłem sobie żyć tak, jak pan Andrzejewski: uczciwie i na mierności przestawać, żeby taką po sobie pamięć zostawić.

Od czasu śmierci męża, na twarzy wdowy nikt uśmiechu nie dojrzał, modliła się tylko, płakiwała, zaniedbała gospodarkę i dnie prawie całe przy grobie przesiadywała. Dzieci zabrać ją do siebie pragnęły, ale grobowca odstąpić nie chciała.

Staruszka chciała mi koniecznie oddać mieszkanie, ale na to nie pozwoliłem; niech tam dokona życia, myślałem, gdzie tyle lat szczęścia spędziła; ja z Klimunią poprzestaniemy na małém mieszkanku, wszak do szczęścia prawdziwego nie potrzeba dużo i pięknych pokoi.

Nadszedł nareszcie dzień naszego wesela; pro-

siliśmy na nie panią Andrzejewską, ale odmówiła:

— Niema już dla mnie wesela — rzekła — na cóż miałabym wam dzień tak uroczysty smutną twarzą zatruwać?

Uklękliśmy tedy u nóg staruszki z prośbą, by nas na drogę życia pobłogosławiła.

Państwo sprawili nam sute wesele i żonę moją hojnym udarowali datkiem. Nie mogę tu pominąć zdarzenia, jakie miałem w dzień ślubu naszego. Gdy wyszliśmy z kościoła po odprawionym obrzędzie, spostrzegłem kilku stojących żebraków; przystąpiwszy do najbliżéj stojącego, od razu poznałem w nim mego ojczyma. Wziąłem go zaraz do siebie, ale nic poradzić nie mogłem: rozpił się i zamiłował włóczęgę, w niéj też gdzieś marnie zginął. Takie bywają skutki krzywdy sierocéj, że Bóg sprawcę onéj na potępienie skazuje.

Po weselu wziąłem zaraz Klimcię do siebie i zdało mi się, że już nie było szczęśliwszego odemnie. Ale nowy smutek przerwał dni naszego wesela: raz rano zastaliśmy panią Andrzejewską klęczącą przy modlitwie nieżywą; widać było z jéj śmiertelnego oblicza, że u wrot wieczności spotkać się musiała ze swoim Jankiem, bo promieniało ono niewysłowioną radością i szczęściem. Mówili ludzie, że jéj serce z wielkiego żalu pękło.

Pochowaną także została kosztem państwa, i na jéj pogrzebie kapłan powiedział wiele słuchaczom o jéj piękném wzorowém życiu. Nareszcie wstawiliśmy trumnę do wspólnego grobowca, by spoczęli w pokoju, jako żyli z sobą nierozdzielnie, bogobojnie; by serca ich złączone za żywota serdeczną miłością, w proch się rozsypawszy, połączyły z sobą! ....

Klimcia moja, gdy się lud rozchodzić począł z pogrzebu, stając nad grobem małżonków, rzekła do mnie zcicha, ściskając mi rękę:

— Michałku, prośmy Boga, abyśmy jak oni przeżyli długie lata cnotliwie, i jak oni kiedyś obok siebie spoczęli.

Nie mogłem odpowiedzieć Klimci, takie niewymowne jakieś przejęło serce moje uczucie na te jéj poczciwe słowa, i dopiero po chwili, pocałowawszy ją w rękę, rzekłem:

— Daj Boże! wszak to w naszéj mocy być cnotliwymi, a przez to i szczęśliwymi.

Powróciwszy z pogrzebu — ciągnął daléj pan Michał — nie mogliśmy z wielkiego żalu wejść do mieszkania nieboszczyków, ale przyszedł czas, żeśmy je zajęli i lat czterdzieści kilka żyjemy w niém szczęśliwie.

Klimcia moja, gospodarując całe życie na wzór pani Andrzejewskiéj, przysporzyła dostatków, na które pracowaliśmy oboje, dla czworga dziatek, któremi nas Bóg udarował. Używajcie szczupłego mienia— mówił pan Michał, zwracając się do dzieci— bez trwogi, bo niema w niém feniga nieprawnie lub nieuczciwie nabytego,—pot go tylko pracy rodzicielskiéj oblewa, ale sumienny, i pamiętajcie, że uczciwe zabiegi i mierność—dwa to warunki, dwie drogi prowadzące jedynie do szczęścia.

Nie łakomcie się na bogactwa, jam się o nie nigdy nie dobijał, a nie pomieniałbym się na szczęście z panem pałaców i wielu włości. Bądźcie zawsze skromni w żądaniach, poczciwie służcie, komu służyć będziecie, a staniecie się panami największego skarbu, bo czystego sumienia, którego żadne nie przeważy złoto, i szczęścia, którego żadna nie zmieni przeciwność.

Tak zakończył pan Michał.

W lat kilka po tém opowiadaniu, widziano go jeszcze w polach Topolińskich gospodarującego.

Swięta mierności! gdyby cię ludzie cenić, jak pan Michał, umieli, byłoby na świecie więcéj szczęśliwych, sumiennie używających w pokoju darów Bożych.

Piosenka młodości.

La-la-la! la-la-la!
Moje piosenki, —
Śpiewne wesołe, serdeczne;
La la la! la la la!
Dni méj wiosenki
Jasne, błękitne, słoneczne!

*

Patrzę na pola, lasy i góry,
A wszędzie kwiatki, to zdroje;
Po niebie płyną srebrzyste chmury,—
Wianuszków u nóg mych zwoje.

*

Barwne, zielone, kwieciste łany, —
Szelest wietrzyka uroczy;
Wszędzie tak błogo, bo gdzie nie stanę —
Spotkają cuda me oczy.

Ja śpiewam sobie, pieśń ma wesoła, —
A któż mi śpiewać zabroni?
O, precz wy dumy ponure z czoła,
Wesoła piosnka niech dzwoni!

*

La-la-la! la-la-la!
Moje piosenki, —
Śpiewne, wesołe, serdeczne;
La-la-la! la-la la!
Dni méj wiosenki
Jasne, błękitne, słoneczne!

Michał Krysztof K....

Raj Odzyskany

czyli

Szczęśliwa Siedziba Wiejska (*).

(Dalszy ciąg.)

ROZDZIAŁ IV.

Cząstki i cząsteczki,

składające środkową część świata ziemiańskiego.

Poznaliśmy już jakożkolwiek dwie główne *części* **świata** naszego **ziemiańskiego**, czyli odwzorowanego odwiecznego polańskiego i ogólnego słowiańskiego, to jest (powtarzamy tę rzecz jeszcze raz) część jego *zewnętrzną* czyli *dziką*, dla dzikich istot — roślinnych, żyjątkowych, zwierzęcych i dla na pół-dzikich ludzkich, zwanych prostakami, przeznaczoną, mającą stosowne dla ostatnich i przedostatnich, pod głoskami K i K, u dołu obrazu do czasu ich oddziczenia i odprostaczenia, pomieszczenie; powtóre, część *wewnętrzną czyli uprawną*, podzieloną na cztery *cząstki*, to jest, jak już wiemy, na *uprawną roślinną* A, B, C, *uprawną żyjątkową* D a b c, *uprawną zwierzęcą* E, F, G, i *uprawną ludzką* H, J; w której się mają właściwie nie uprawiać ale tylko doprawiać te ostatnie istoty.

Obok tego poznaliśmy już czyli raczéj wymieniliśmy wskazane dopiero dwanaście *cząsteczek*, składających te cztery *cząstki* tegoż świata, nazwane przez nas *cząsteczką leśniczą* A, *ogrodniczą* B, *rolniczą* C, *pszczolniczą* Da, *jedwabniczą* Db, *pijawczaną* Dc, *rybią* E, *skotarską* F, *ptaszą* G, *pracowniczą* Ha, *dozorczą* Hb, i że tak powiem *kierowniczą* Ic.

Teraz wypada nam wskazać szczegółowe urządzenie tychże dwunastu cząsteczek.

(*) Ob. Nr. 39 Zorzy z r. b. i poprzednie.

Na czémże się takowém zasadzać ono może?

Głównie na tém, na czém się zasadza urządzenie całego w ogolności *świata* naszego, bo zresztą niepodobne innym sposobem (jak nas zapewniają wszystkie objawione dotychczas w téj mierze przez ludzi usiłowania) do osiągnienia.

Gdyby P. Bóg stworzył był ludzi z usposobieniem *do uszczęśliwiania siebie*, *tylko przez siebie*, to już może od wieków byliby, spełniając w téj mierze Jego wolę, szczęśliwymi; ale że ich stworzył z usposobieniem *do takowego uszczęśliwiania się — i przez uszczęśliwianie innych*, zwłaszcza wyraźnie oddanych pod ich opiekę i niewątpliwe uszczęśliwialnych Jego *stworzeń*, a ich spółstworzeń: więc i ten wskazany przez Niego dla nich dobroczynny środek osiągnięcia najwyższego celu ich pragnień, zwanego szczęściem, nie może być przez nich (bez sprzeciwiania się téj dobroczynnéj Jego woli i bez gwałcenia zrodzonéj przez nią prawdy *„że tylko pomiędzy szczęśliwymi można być prawdziwie szczęśliwym“*) — pomijany, a tém mniéj lekceważony.

Cokolwiek może człowiek w swém życiu czynić dobrego i do czegokolwiek czuje się być przez Opatrzność usposobionym, a tego nie czyni, grzeszy ciężko przeciwko Niéj, społeczeństwu i samemu sobie, i za ten grzech odnosi, jako marnotrawca darów bożych, sprawiedliwą i sprawiedliwie spadającą na niego karę.

Po tych ogólnych, nad czterema *działami* pielęgnowanych przez nas istot uwagach, odnoszących się szczególnie do ich *uszczęśliwialności* i do ich *możności naszego uszczęśliwiania* (na zasadzie odwiecznego prawa bożego, to jest wiadomego nam działania i oddziaływania, czyli prawa wzajemności) przystępujemy do szczegółowego, chociaż treściwego (jakiego po nas miejsce i czas wymaga, i jaki dozwala nam uczynić nasza możność) opisu tychże istot.

(d. c. n.)

RÓŻNOŚCI.

List z Górnego pod Łodzią

do Panów i Pań, co pisują Zorzę.

w Sierpniu 1868 r.

W N-rze 15 z r. b., Zorzy zamieszczoną była wiadomość o bolesnym i smutnym stanie moralności sług w Warszawie; pozwólcie kochani

państwo i naszych wiejskich rozpatrzeć także przywary i według mego wieśniaczego rozumienia rzeczy podać na tę społeczną chorobę lekarstwa.

Dwojacy są po wsiach słudzy: dworscy i gospodarscy.

O drugich nie wiele mam do nadmienienia, bo u nas czeladnik należy prawie do rodziny, zarówno i wraz z gospodarzem pracuje, razem je, razem się bawi, modli, jednakowo się nosi i jest jakby dzieckiem lub bratem gospodarza. A choć i w naszym stanie natrafi się na niewiernego sługę lub niesprawiedliwego gospodarza, to jednak powyżéj opisany stosunek najpospoliciéj się zdarza.

Inaczéj rzecz się ma po dworach. Rozbierzmy wady służby dworskiéj Pomiędzy dworakami jedni są tacy, co zostają na stole dworskim, inni na ordynarji. Do pierwszych należą kawalerowie i panny, jakiemi są lokaje, ogrodniki, panny służące, pokojówki, kucharki— do drugich należą żonaci, np. fornale, rataje, pastuchy, owczarze, włodarze i t. d.

O pierwszych toż samo wypadałoby powiedzieć, co powiedzianém było w wyżwspomnionym artykule o warszawskich sługach,—jeden stopień moralności naznaczyćby im można, choć tu na wsi często pochodzi to z winy samych dworów. Narzekać tu trzeba z jednéj strony na niedozór, z drugiéj na zły przykład, wreszcie na gorszące namowy i rozkazy. Ale niech Szanowne panie pilniéj czuwają nad czeladką swoją, niech się więcéj trochę zajmą domem i domownikami, niech panowie pierwsi w osobach swoich wzory moralności przedstawią, a wnet się pochwalić będziemy mogli, że co raz mniéj wśród nas, nierzetelnych i niewiernych służących i lokajów, nieskromnych i niemoralnych pokojowek i panien służących będzie. Ale nie o tych mi idzie. Mam tu pomówić o dworakach na ordynarji, którzy znaczną część ludności wiejskiéj stanowią.

Bezprzestanne bywają na takich skargi i zażalenia; ale téż rzec można, że najpośledniejsze oni pod względem moralności zjamują miejsce w społeczeństwie.

Wszystko złe w nich dostrzedz się daje: złodziejstwo, pijaństwo, upodlenie, mściwosc i ostatni stopień ciemnoty. Przyczynę tego według mego sądu przypisuję dworom. Dworak bowiem często nie inaczéj jest uważany jak nierozumne zwierzę gorzéj nawet,—wół naprzykład spokojnie w niedzielę lub święto stoi na oborze lub się pasie na błoniach; dworak chociaż w taki dzień święty nie idzie z kosą lub sierpem, to musi jakąś robotę przy domu lub gorzelni odbywać, jechać do młyna, odstawić kupcowi zboże, które *tenże w szabas bardzo rozsądnie przyjmować nie chce*, lub nareszcie parę godzin przewartować przy biórku pana, wyczekując wypłaty. Dawniéj kwapiono się jakoś oświecać swoją czeladkę, choć ta poczciwa chętka niedługo trwała: dziś w żadnym dworze nie myślą o tém, nigdzie pisemka żadnego, choćby tak taniéj Zorzy [1], któraby potém zbroszurowana w księgozbiorze dworskim pozostać mogła, nie zakupią dla tych ludzi, którym za nadejściem niedzieli nic więcéj nie pozostaje, jak tylko, wyrwawszy się ze dworu, w karczmie trunkiem głowę zalewać. A do kościoła któryż dworak uczęszczać może? Bywa, że się nieraz nasłuchają od swych przełożonych bluźnierczych przygryzków, że ich kościół ma być przy żłobie, w oborze i t. p., że Pan Bóg jest wszędzie, nie potrzebują Go szukać. I gdzież oni usłyszą naganę zdrożnego postępowania, jeżeli nie w kościele?... przez kogo mogą się zachęcić do moralności, jeżeli nie przez kapłana, do którego jeszcze ufność mają? Na mój rozum dopóty dobrze nie będzie się działo po dworach, dopóty dworacy nie staną się uczciwymi i moralnymi, nie przestaną być powodem zażaleń i skarg, dopóki prócz jakiéj takiéj dbałości o ich oświatę, nie będzie im pozwoloném zachowywać należycie święta i spełniać sumiennie obowiązki religji, dopóki dwory nie zaczną czuwać nad tém, by ich czeladź regularnie na nauki, kazania i nabożeństwa do kościoła uczęszczała — dopóki nadto, dworak dobrze traktowany i wszelka mu sprawiedliwość, tudzież pomoc czy w zdrowiu, czy w chorobie udzielona nie będzie. Zajmijcież się drodzy państwo tą klassą ludności naszéj, podajcie w waszéj Zorzy skuteczne jakie lekarstwo na poprawę i umoralnienie tych ludzi, a zarazem może zdołacie i dwory pobudzić do Chrześciańskiego nad swą czeladką zarządu i pieczy!.

Z naszych stron nie wiele na teraz wiadomości. Głównie donoszę o wypadkach, jakie miały miejsce w Chojnach pod Łodzią po raz trzeci w tym roku. Są tam ogromne przepa-

---

[1] Owszem są przykłady przeciwne, choć wprawdzie rzadkie. (P. R.)

ściste stawy, w których każdego roku ofiar kilka grób znajdzie. Najczęściéj pijacy ukaranie swego niepoprawnego nałogu znajdują. W roku bieżącym w sam Ś-y Wojciech, Jan Kasztelan, przesiedziawszy w karczmie dzień cały (a był wtedy w Chojnach odpust), wracał późno wieczorem do domu — a że silny téj nocy wiatr powstał, on się dostał do stawu, i utopiony ledwo trzeciego dnia odszukanym i pochowanym został. Do dziś dnia tegoż losu dwoje jeszcze ludzi doznało. Ostatni topielec, gdy w biały dzień w stanie opilstwa, jakby rozmyślnie zginął, odmówionėm miał nawet Chrześciańskiego pogrzebu i jak wisielcy na miejscu niepoświęconém zakopany został. Wypadki te powinny przerazić pijanice, którzy w zaślepieniu swojém granic nie mają, i być im dowodem, że Bóg prędzéj lub późniéj, już na tym świecie zbrodnię ich nałogu ukarze. Wypadki te służą nadto za dowód niedbalstwa współbraci moich, którzy patrząc na ciągłe ofiary z ich łona wydzierane, nie zapobiegną temu, ogradzając groble w tak niebezpiecznych miejscach. Ale już to natura nasza taka. Do czego nas przymusem nie naglą, tego dla naszego dobra nie robimy. Ot Kolonja Bedoń gorzko na zbytek wody wyrzeka, ma ją i w sklepach, nawet i w izbach, a z ziemniakami nie wie gdzie się schować, — a jednak, jak się zdaje i temu zapobiedz nie trudno, pokopać tylko rowy, porobić spadki i upusty, ale gdzie tam, to nienakazane! to się téż robić nie należy..... Dziwna opieszałość i lenistwo!...

Na zakończenie wspomnę wam kochani państwo, o pogrzebie dziadka kościelnego Józefa Kubiaka w Głownie. Starzec ten przeszło ośmdziesięcioletni w dniu 24 Lipca r. b. zakończył życie. Wierny to i dobry musiał być sługa, gdy mu jego pan a zarazem proboszcz, ksiądz Stanisław Piekalski, tak wspaniały zarządził pogrzeb. Dziewięciu księży sąsiednich towarzyszyło temu obrzędowi. Jeden z zaproszonych sąsiadów, ksiądz Wiktor Pawłowski, przy grobie wypowiedział stosowną mowę, porównywając atłasy bogacza z łachmanem nędzarza i wykrywając, że nie pod każdą błyszczącą szatą znajduje się szlachetna dusza, i że przeciwnie często uboga odzież szlachetne i wielkie serce pokrywa. I liczny poczet parafian Głowieńskich otaczał tę z czterech prostych desek zbitą trumnę; członkowie miejscowego bractwa ponieśli ją na swoich ramionach, świéce we wszystkich prawie gorzały rękach; łza w oku zawisła i spłynęła po policzku dobrego pana, co poczciwego sługę tak serdecznie pożegnał, a jego wierną służbę publicznie i tak pięknie uczcił. O! bodajby nietylko dziadków kościelnych ale w ogóle sług jak najwięcéj było takich, coby podobny szacunek i miłość u swych państwa miłością i wiernością zyskali.

Na tém kończąc dzisiejszy list, łączę wam, kochani państwo, serdeczne pozdrowienie jako

Wasz brat i przyjaciel

Mikołaj Gruda.

— W mieście Szczecinie, na Pomorzu, w Prusach Wschodnich założono obecnie tak zwaną „*Gospodę Dziecięcą*“. Do przytułku tego przyjmowane być mają dzieci głównie płci żeńskiéj, już to zaniedbane przez rodziców, już téż zupełnie przez nich opuszczone. Dzieci te mają być wychowane *na dobrych służących.* Dotąd znajduje się już w Gospodzie dzieci 13. Fundusz na utrzymanie nowo założonego zakładu ma być tworzonym ze sprzedaży zbieranych odpadków papieru, kości, szmat, żelaza, szkła potłuczonego, zużytych korków, pieczątek lakowych i t. p. pozornych nieużytków. Od ostatniéj zimy zbierają także łepki od cygar i niedopalone ich resztki. Na zbieranie tych ostatnich Zarząd Gospody urządził w różnych punktach miasta, a szczególniéj w miejscach zebrań publicznych, odpowiednie pudełka. Dla zachęcenia nawet do zbierania łepków, towarzystwo będzie rozsyłać pudełka i po za obręb miasta i gotowe jest poumieszczać w pewnych miejscach przyrządy do obcinania cygar. Z wszystkich takich na pozór nic nie znaczących rzeczy przemysł umie korzystać. Z odpadków papieru i szmat papiernie wyrabiają potém porządny papier; kości używają na węgiel, potrzebny bardzo w przemyśle, jak np. do oczyszczania cukru i t. p.; szkło potłuczone, kawałki żelaza huty przetapiają na swoje dokładne wyroby; łepki od cygar potrzebne są do robienia papierosów i na tytoń i t. p. Tak to dobroczynność umie się łączyć korzystnie z przemysłem. Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności przyjmuje także na cele powyższe łepki od cygar, pieczątki od listów, które, sprzedane fabrykom, przyczyniają fundusz dla biednych. Nadmieniamy tu, że w Ameryce w stanach Zjednoczonych pewien Dom Handlowy dorobił się

milionów, skupując tylko, prawie za bezcen, zużyte pióra stalowe,—potém zapewne je przetapiano dla wyrobienia nowych.

—We wsi Niesiołkowie, w powiecie Brzezińskim, znajduje się podobno *najstarszy gąsior*; dźwiga on już lat 20 na swoim grzbiecie—jest też bardzo osłabiony wiekiem. Zwykły wiek gęsi dosięga najwyżéj lat 12-tu.

DWAJ CHŁOPCY.

Przypowiastka.

Gdy chłopczyk wymawiał drugiemu chłopczynie,
Że od niego niżéj stanął na drabinie,
Ten rzekł: — „Bo z różnicy tych szczebli się uczę,
Że kto z niższych upadnie, ten się mniéj potłucze“.

F. Mikorski.



Kumoszka całego świata

— Powiadają: że „po świętym Mateuszu kiep kto chodzi w kapeluszu,“ a po świętéj Urszuli nie uchodzisz chłopie w koszuli,— a jabym dodała: że na świętego Mateusza nie jeden szuler do Łowicza rusza,— żeby drugiego obedrzeć w kartach do naga, albo też samemu zostać gołym jak święty turecki. A mówię to nie bez kozery, proszę państwa, bo choć żadnych kozer nie znam w kartach, ale jako wszędobylska widzę i słyszę inne rzeczy co się *święcą*, i znam takich jegomościów, co tu po bruku warszawskim chodzą jak jakie ma-gnaty, albo uczciwi ludzie, a na 21 Września drapnęli cichaczem na jarmark Łowicki, nie po kupno koni albo kożuchów, ale żeby szczęścia u malowanych królów poszukać. Toć też znam jednego takiego, co to patrzy tylko na żonine ręce, i zamiast on ją, ona jego utrzymuje, a najwięcéj jak się zgra jak sz....; a choć dziś jeździ on powozikiem o jednym koniu, a dwóch kołach, ale bo to długo tak będzie? Dziwna rzecz! teraz takie *dwokółki* nazywają Amerykankami (jakby one były kobiety z Ameryki!), a dawniéj nazywano je u nas po prostu *biedami*,— oj! kto wié, czy to nie lepiéjby je i teraz tak nazywać, bo zawsze jak tu widzę, kiedy na niéj pan siedzi na koźle i lejce trzyma, a lokaj z tyłu jak pan prawdziwy z założonemi rękami, to myślę sobie, że to właśnie nie lokaj ale *biéda* prawdziwa siedzi tam już na karku takim paniczom....

— Ja téż, proszę kochanych państwa, czasem się robię jakby filozofką, bo lubię myśleć, tak jako-li filozof jaki,— ale ja to wtedy tylko robię, kiedy sobie wracam ulicą z nieszporów popołudniowych do mojego Gabrysia. To téż kto wié, czy nie lepiéj ja czynię, kiedy tak bardzo znów dużo nie myślę, boć myślami nikt nikogo jeszcze nie zbawił, zacząwszy od tego filozofa, co to w beczce siadywał i grzał się na słońcu. Ale zresztą dawniéj to prędzéj mogło uchodzić; takie długie myślenie to znaczyło *łechtanie* swojego mózgu, — aleć dziś mamy już przecie czém innem mózg swój połechtać, bo od czego są owe *Cygarnie*, czy tam dystrybucje, i owe ogródki w Warszawie? To téż jak wracam z owych nieszporów, często gęsto, mówię do siebie— pewnie na całym świecie tyle cygar i tych papierosów ludzie nie palą — jak w Warszawie. Ha! pewnie to na płuca dobre i od suchot chroni, co się tak u nas zagospodarowały na dobre, i widać téż, że nigdzie tak się ludzie dobrze nie mają jak tutaj,— co krok dystrybucja, co dwa kroki szynk z wódką i piwem bawarskiém, co trzy kroki ogródek z muzyką, a co cztery fotografia, czy tam owe malowanie na papierze przy pomocy słońca i różnych kruszcowych płynów. No, myślę sobie, nic to złego malować obrazki, kościoły, a nawet osoby, ale żeby tak siebie samego kochać i siedzący, leżący, stojący, jeżdżący i t. p. dać się malować, to się psu na budę nie zdało, proszę ja państwa.

A z tego wszystkiego jeszcze jedno powiem; mówią, że gdzieś tam za morzami było w tych dniach widziane zaćmienie całego słońca, i o tysiące mil pozjeżdżali się tam różni ciekawi z powiększającémi szkłami, żeby koniecznie zobaczyć dobrze owe *dlamy* na słońcu, co to podobno są na niém. A ja sobie myślę, po co nam dochodzić tak ciekawie obcych plam, i tak daleko, kiedy my ich mamy zatrzęsenie tak blisko, bo do koła siebie?.

Zagadka.

Szedł brat z siostrą i mąż z żoną, znaleźli 3 jabłka, i wszystkim po całém wypadło?¡

Mąż z żoną i ze szwagrem

Sprostowanie. W N-rze 39. Zorzy na stronie 314, na samym końcu dwa ostatnie wiersze powinny być tak:

Jeść, jeść i zawsze jeść
Cześć, cześć i zawsze św. . . . cześć!

i na téj saméj stronie, w drugiéj połowie do wierszy: *Rznij prawdę, a o resztę nie pytaj! Prawdą świat i ludzie stoją*, dodać:

Prawdę duchu nasz im czytaj,
Kp. ci, co się prawdy boją! —

Redaktor i Wydawca Józef Grajnert, pod Nr. 24 (nowym) ulica Nowy Świat.--Druk J. Goldmana.—

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.